



BERNARD
Cornwell

WOJNY
WIKINGÓW
TOM I



OSTATNIE
KRÓLESTWO



B E R N A R D
Cornwell

OSTATNIE
KRÓLESTWO

TLUMACZENIE
AMANDA BEŁDOWSKA



OTWARTE

KRAKÓW 2019

Tytuł oryginału: *The Last Kingdom*

Copyright © Bernard Cornwell 2004

Copyright for this edition: © Wydawnictwo Otwarte 2019

Tłumaczenie: Amanda Beldowska

Opracowanie tłumaczenia: Emilia Rydzewska

Wydawca prowadzący: Olga Orzeł-Wargskog, Monika Rossiter

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie: d2d.pl

Projekt okładki i wyklejek: Eliza Luty

ISBN 978-83-7515-495-5



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

PROLOG

NORTHUMBRIA

866–867

Na imię mam Uhtred. Jestem synem Uhtreda, który był synem Uhtreda, którego ojca także zwano Uhtredem. Ksiądz Beocca, urzędnik mojego ojca, zapisywał to imię jako Utred. Nie wiem, czy tak samo pisałby je ojciec, gdyby umiał to robić. Ja potrafię i czytać, i pisać, więc gdy z drewnianej skrzyni wyciągam czasami stare pergaminy, widzę, że imię to rzeczywiście zapisywano na wiele sposobów: jako Uhtred, Utred, Ughtred, a nawet Ootred. Te pokryte kurzem arkusze to akty własności. Mówią wyraźnie, że Uhtred, syn Uhtreda, jest prawowitym i jedynym właścicielem ziem o granicach starannie oznaczonych kamieniami i groblami, dębami i jesionem, bagnami i morzem. Śnię o tych omywanych falami, dzikich terenach rozciągających się pod smagającym wichrami niebem. Marzę o nich i wiem, że nadejdzie dzień, kiedy odbiorę je tym, którzy je ukradli.

Jestem ealdormanem*, choć sam siebie nazywam earlem Uhtredem, co w zasadzie znaczy to samo. Blaknące pergaminy dowodzą, że jestem właścicielem tych ziem. Tak mówi prawo,

* Ealdorman – tytuł anglosaski nadawany w wiekach IX–XI osobie sprawującej władzę w shire (ziemi, prowincji) z ramienia króla; earl – zangielszczenie duńskiego tytułu jarl (wódz). Tytuł earl od IX wieku miał to samo znaczenie co ealdorman, ale oficjalnie wprowadzono go dopiero w XI stuleciu.

a wiadomo, że prawo odróżnia nas – ludzi prowadzonych przez Boga – od bydła w rowie. Prawo jednak nie pomoże mi odzyskać posiadłości. Prawo bowiem domaga się kompromisu. W prawie uważa się, że pieniądze mogą wynagrodzić stratę. Wreszcie prawo ponad wszystko boi się krwawej rodowej zemsty. Lecz ja jestem Uhtredem, synem Uhtreda, a to właśnie jest opowieść o krwawej rodowej zemście, o tym, jak odbiorę wrogowi to, co według prawa należy do mnie. Jest to także opowieść o kobiecie i o jej ojcu królu.

Król ów był moim królem i wszystko, co posiadam, zawdzięczam jemu. Jedzenie, które spożywam, dwór, w którym mieszkam, i miecze, którymi walczą moi ludzie. Wszystko to mam od Alfreda, mojego króla, który mnie nienawidził.

Ta historia zaczęła się wiele lat przed tym, nim poznałem Alfreda. Zaczęła się w chwili, gdy miałem dziewięć lat i po raz pierwszy zobaczyłem Duńczyków. Był rok 866. Nie nazywano mnie wtedy Uhtredem, tylko Osbertem, ponieważ byłem drugim synem. Imię Uhtred nadano pierworodnemu. W chwili rozpoczęcia mojej opowieści miał on siedemnaście lat, był wysoki, dobrze zbudowany i – jak wszyscy w naszej rodzinie – jasnowłosy. Po ojcu odziedziczył posępny wyraz twarzy.

W dniu, w którym po raz pierwszy ujrzałem Duńczyków, jeździliśmy konno wzdłuż morskiego wybrzeża, a na nadgarstkach siedziały nam sokoły. My, to znaczy ojciec, jego brat, mój brat, ja i kilku pachółków. Była jesień. Klify wciąż bujnie porastała letnia roślinność, na skałach wylegiwały się foki, a w powietrzu krążyły chmary pokrzykujących morskich ptaków, których było zbyt wiele, by spuścić sokoły z linek. Jechaliśmy tak aż do wysokości Lindisfareny, Świętej Wyspy.

Pamiętam, jak ponad wodą wpatrywałem się w stojące na niej zburzone mury opactwa. Dawno temu, wiele lat przed moim przyjściem na świat, klasztor złupili Duńczycy i mimo że jakiś czas potem w jego murach znów pojawili się mnisi, opactwo nigdy nie odzyskało dawnej świetności.

Zapamiętałem ten dzień jako piękny. Może rzeczywiście taki był, choć równie dobrze mógł wtedy padać deszcz. Wydaje mi się to jednak mało prawdopodobne – raczej świeciło słońce, morze łagodnie falowało, a świat był wspaniały. Czulem, jak przez skórzany rękaw wbijają mi się w nadgarstek szpony sokoła. Nerwowo kręcił zakapturzoną głową, gdyż słyszał pokrzykiwania białych ptaków. Przed południem wyjechaliśmy z naszej twierdzy. Kierowaliśmy się na północ i mimo że zabraliśmy ze sobą sokoły, nie mieliśmy zamiaru polować – wzięliśmy je raczej dlatego, że ojciec tak postanowił.

Byliśmy panami tych ziem. Mój ojciec, ealdorman Uhtred, był właścicielem wszystkiego, co leżało między rzeką Tuede na północy a rzeką Tine na południu. Naturalnie mieliśmy wtedy w Northumbrii własnego króla, który – tak jak ja – nazywał się Osbert. Mieszkał na południu, rzadko przybywał na północ i nie kłopotał nas. Teraz jednak na tronie chciał zasiąść człowiek o imieniu Aella*. Był to ealdorman władający wzgórzami na zachód od Eoferwicu. Zebrał armię z zamiarem ruszenia na Osberta. Posłał też mojemu ojcu podarki, by pozyskać jego wsparcie. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę z tego, że los planowanego wówczas przewrotu leżał w rękach ojca. Bardzo chciałem, żeby poparł Osberta – prawowity

* W ksiązkach historycznych można niekiedy spotkać to imię zapisane jako Ælla. „Æ” to staroangielska ligatura ash, nieistniejąca już we współczesnym alfabecie angielskim. W polskim przekładzie zastosowano transliterację tego dwuznak – w miejscu „Æ” pojawia się więc „Ae”.

król nosił wszakże to samo imię co ja, a w naiwności swoich dziewięciu lat wierzyłem, że każdy, kto nazywa się Osbert, jest szlachetny, dobry i odważny. Prawda jednak była taka, że Osbert był śliniącym się głupcem. Zasiadał jednak na tronie, dlatego ojciec nie bardzo kwapił się go porzucić. W przeciwieństwie do Aelli, Osbert nie starał się pozyskać sobie naszych względów – nie przysłał żadnych darów, nie okazał też należnego szacunku. I dlatego ojciec się niepokoił. W tamtym czasie mogliśmy poprowadzić do boju stu pięćdziesięciu ludzi, wszystkich świetnie uzbrojonych. W ciągu miesiąca byliśmy w stanie powiększyć nasze wojska do ponad czterystu mężczyzn, więc ten, kogo byśmy poparli, zostałby królem i naszym dłużnikiem.

Tak myśleliśmy.

I wtedy je zobaczyłem.

Trzy statki.

Choć w moich wspomnieniach wyłoniły się z unoszącej się nad morzem mgły, wiem, jak ułomna jest ludzka pamięć. Łodzie rzeczywiście mogły wynurzyć się z białego obłoku, jednak tamten dzień jawi mi się pogodnie, widzę czyste, bezchmurne niebo – skąd więc mgła? Wydaje mi się wszakże, że w jednej chwili morze zrobiło się puste, a w następnej na horyzoncie pojawiły się trzy płynące z południa statki.

Były piękne. Delikatnie kołysały się na falach, a gdy wiosła poszły w ruch – ślizgały się lekko po powierzchni wody. Ich dzioby i rufy zakrzywiały się wysoko, zakończone pozłacenymi wężami i smokami. Odnosiłem wrażenie, jakby tego wczesnojesiennego dnia trzy statki tańczyły na falach, pchane wznoszącymi się i opadającymi ruchami srebrnych piór. Połyskiwały na nich promienie słoneczne, światło rozszczepiało się, potem wiosła niknęły w głębinach wody, wykonywały

odpychający ruch i statek z głową smoka lub węża na dziobnicy przyspieszał. Patrzyłem na to wszystko jak urzeczony.

– Diabelskie pomioty – mruknął ojciec. Nie był z niego zbyt dobry chrześcijanin, lecz w tamtym momencie zdjęła go trwoga na tyle silna, że uczynił znak krzyża.

– Niech ich piekło pochłonie – dopowiedział wuj. Nazywał się Aelfric. Był mężczyzną smukłym, przebiegłym, mrocznym i zagadkowym.

Trzy łodzie płynęły na północ, ich czworokątne żagle spoczywały zwinięte na długich rejach. Odwróciliśmy się w kierunku południowym i pocwałowaliśmy po piasku do domu. Wiatr rozwiewał końskie grzywy, a zakapturzone sokoły skrzeczały zaniepokojone. Ale statki zrobiły obrót razem z nami. W miejscach, gdzie klify opadały, tworząc pochylnie porozrywanego torfu, wjechaliśmy w głąb lądu, wspinając się na zbocze, skąd pogalopowaliśmy wzdłuż wybrzeża prosto do fortecy.

Do Bebbanburga. Dawno temu tymi terenami władała królowa Bebba, od której imienia wziął nazwę mój dom – najdroższe mi miejsce na ziemi. Twierdza do dziś stoi na wysokiej skale, której część obmywa morze. Fale uderzają o jej wschodnią stronę, białą pianą rozbijają się o północny grzbiet, natomiast wzdłuż zachodniej ściany – pomiędzy fortecą a lądem – zaledwie omywają ją niewielkimi zmarszczeniami pły-cizny. By dostać się do Bebbanburga, trzeba groblą kierować się na południe. Tworzy ją niewysokie usypisko skał i piasku, strzeżony przez wspaniałą drewnianą wieżę zwaną Niską Bramą. Stoi na szczycie wału ziemnego. Na pokrytych białymi płatami potu koniach przemknęliśmy z prędkością błyskawicy pod łukiem wieży, minęliśmy spichlerze, kuźnię, podwórze, stajnie i uliczkę ze starymi stodołami przerobionymi na izby mieszkalne. Wszystkie budynki były drewniane, solidnie

pokryte strzechą z żytniej słomy. Pędziliśmy tak aż do ścieżki prowadzącej do umieszczonej na szczycie skały Wysokiej Bramy, która pełniła funkcje obronne. Dwór ojca obwiedziony był drewnianymi umocnieniami. Tam zsiadliśmy z koni, które wraz z sokołami zabrali niewolnicy, po czym pobiegliśmy na wschodni szaniec, skąd wpatrzyliśmy się w morze.

Trzy statki zbliżały się już do wysp zamieszkałych przez maskonury oraz ludność, która poluje na foki i tańczy w ziemi. Przyglądaliśmy się łodziom, gdy zaniepokojona tętentem końskich kopyt macocha wybiegła z dworu i dołączyła do nas.

– Oto diabelskie łajno – powitał ją ojciec.

– Bóg i Jego święci nas oszczędzą – odrzekła z przekonaniem Gytha, robiąc znak krzyża.

Nie pamiętałem swojej prawdziwej matki, która była drugą żoną ojca i która, podobnie jak jej poprzedniczka, zmarła przy porodzie. Tak więc zarówno mój brat, będący w gruncie rzeczy moim przyrodnim bratem, jak i ja nie poznaliśmy swoich rodziców. Gythę traktowałem jednak jak matkę – zazwyczaj była dla mnie miła, znacznie miłsza niż nieprzepadający za dziećmi ojciec. Gytha chciała, żebym został księdzem – mówiła, że starszy brat odziedziczy ziemię i będzie wojownikiem stojącym na jej straży, więc ja muszę obrać inną życiową drogę. Urodziła ojcu dwóch synów i córkę, ale żadne z tych dzieci nie przeżyło nawet roku.

Trzy statki były już dość blisko. Wyglądało to tak, jak gdyby przyplłynęły do Bebbanburga, żeby zbadać teren. Specjalnie nas to nie martwiło, gdyż twierdza służyła z niedostępności i Duńczycy mogli się na nią gapić do woli. Na każdej burcie najbliższej łodzi znajdowało się po dwanaście wiosł. Gdy przepływała w odległości około stu kroków od wybrzeża, jakiś człowiek zeskoczył na wystawiony z burty trzon wiosła

i tanecznym krokiem przebiegł po całym ich rzędzie, przy czym zrobił to ubrany w kolczugę i z mieczem w dłoni. Modliliśmy się, żeby się przewrócił i skąpał w morzu, ale nasze nadzieje okazały się płonne. Miał bardzo długie, jasne włosy, a kiedy w podskokach przemierzył po kolei wszystkie wiosła, zawrócił i powtórzył całą sztuczkę.

– Tydzień temu ten sam statek był w ujściu rzeki Tine. To kupcy – powiedział Aelfric, brat ojca.

– Skąd wiesz?

– Widziałem go – odparł wuj. – Poznaję jego dziób. Widzisz ten jasny pas poszycia na wygięciu? – Splunął. – Wtedy nie miał smoczego lba.

– Kiedy handlują, zdejmują ozdoby z dziobów – wyjaśnił ojciec. – Co kupowali?

– Wymieniali skóry na sól i suszone ryby.

Mówili, że są kupcami z Haithabu.

– Teraz są kupcami szukającymi zwady – powiedział, krzywiąc się, ojciec.

Duńczycy z trzech statków rzeczywiście nas prowokowali. Uderzali włóczniami i mieczami o malowane tarcze, jednak niewiele mogli zrobić Bebbanburgowi, podobnie jak my nie mogliśmy niczego zrobić im. Mimo to ojciec nakazał wywiesić flagę z wilkiem, co zwykł czynić w czasie walk. Widniał na niej łeb bestii z obnażonymi kłami. Dzień był jednak bezwietrzny i chorągiew opadła smętnie. Poganie zlekceważyli ten ostrzegawczy sygnał i po chwili, znudzeni naśmiewaniem się z nas, zajęli stanowiska przy wiosłach i odpłynęli, kierując się na południe.

– Musimy się modlić – oświadczyła macocha.

Gytha była znacznie młodszą od ojca, niską, pulchną kobietą o burzy jasnych włosów. Czcila Świętego Kutberta, wielbłąc

go za to, że czynił cuda. W kościele za naszym dworem trzymała grzebień z kości słoniowej, którym podobno niegdyś ów święty rozczesywał sobie brodę.

– Musimy działać – powiedział ze złością ojciec. Odwrócił się od zabudowań. – Uhtredzie – zwrócił się do mojego starszego brata – weźmiesz tuzin ludzi i poprowadzisz ich na południe. Obserwuj tych barbarzyńców, ale nie rób nic więcej, rozumiesz? Jeżeli zejda na ląd na mojej ziemi, chcę wiedzieć, w którym miejscu to uczynili.

– Tak, ojcze.

– Nie walcz z nimi – nakazał ojciec. – Tylko patrz, gdzie jadą i co robią. I wracaj, nim zapadnie noc.

Posłano też sześciu mężczyzn, by zaalarmować ludność. Każdy wolny mężczyzna miał obowiązek służby wojskowej i przed jutrzejszym zmierzchem ojciec spodziewał się zebrać prawie dwustu ludzi uzbrojonych w topory, włócznie i sierpy. Z kolei jego podwładni, którzy mieszkali z nami w Bebbanburgu, mieli zostać wyekwipowani w porządne miecze i ciężkie tarcze.

– Jeżeli masz nad Duńczykami przewagę liczebną – powiedział mi tamtej nocy ojciec – nie będą z tobą walczyć. Są jak psy. Podszyci tchórzem. Nabierają odwagi, dopiero gdy zbierze się ich cała sfora.

Zapadł już zmrok, a mój brat nie wracał, lecz nikt się tym specjalnie nie martwił. Uhtred był sprawnym w boju, choć czasami lekkomyślnym młodzieńcem i spodziewano się go późną nocą. Na szczycie Wysokiej Bramy ojciec rozkazał zapalić umieszczony w żelaznym uchwycie ogień sygnałowy, by jego światło prowadziło syna do domu.

Uważaliśmy, że w Bebbanburgu nic nam nie grozi – twierdza jeszcze nigdy nie została zdobyta. Ojciec i wuj niepokoił się jednak powrotem Duńczyków do Northumbrii.

– Szukają żywności – uspokajał ojciec. – Te lotry chcą wyjść na brzeg, zwędzić parę sztuk bydła i wrócić do siebie.

Przypomniały mi się słowa wuja o tym, że te same statki znalazły się wcześniej u ujścia rzeki Tine i że Duńczycy handlowali futrami w zamian za suszone ryby. Jak więc mogli być głodni? Nic jednak nie powiedziałem. Miałem dopiero dziewięć lat, a co taki dzieciak mógł wiedzieć o Duńczykach?

Wiedziałem jedynie, że byli to okrutni i straszni poganie, którzy już na dwa pokolenia przed moimi narodzinami przypływali łodziami na nasze wybrzeże, by je rabować. Ksiądz i zarazem urzędnik ojca, Beocca, każdej niedzieli prosił Boga, by uchronił nas przed furją ludzi Północy, i może Bóg tych modlitw wysłuchiwał, bowiem ta furia rzeczywiście dotąd nas omijała. Od dnia moich narodzin żaden Duńczyk nie przybił do okolicznych brzegów, ale w przeszłości ojciec często z nimi walczył i tamtej nocy, gdy czekaliśmy na powrót brata, opowiedział o swoim odwiecznym wrogu. Mówił, że przybywa on z ziem Północy, skutych lodem i spowitych mgłą, i że czci dawnych bożków – tych samych, do których my się modliliśmy, zanim spłynęło na nas błogosławione światło Chrystusa. Kiedy Duńczycy po raz pierwszy przybyli do Northumbrii, przez północne niebo przelatywały ziejące ogniem smoki, potężne błyskawice pustoszyły wzgórza, a trąby powietrzne piętrzyły fale morskie.

– To Bóg ich przysłał – wtrąciła nieśmiało Gytha – żeby nas ukarać.

– A za co miałby nas karać? – zirytował się ojciec.

– Za nasze grzechy – odparła Gytha, robiąc znak krzyża.

– Za nasze grzechy to Bóg kiedyś nas potępi – mruknął. –

A oni przybyli tu, bo mają puste brzuchy.

Złościła go pobożność mojej macochy. Nigdy nie zgodził się zrzec flagi z głową wilka, która świadczyła o pochodzeniu

naszej rodziny od Wodana, pradawnego boga wojny. Jak wyjaśnił mi kowal Ealdwulf, wilk – obok orła i kruka – był jednym z ulubionych zwierząt Wodana. Matka chciała, by na naszej chorągwi widniał krzyż, ale ojciec był dumny ze swoich przodków, choć rzadko wspominał o Wodanie. Już w wieku dziewięciu lat rozumiałem, że dobry chrześcijanin nie powinien chełpić się powinowactwem z pogańskim bogiem, ale równocześnie podobała mi się myśl, że jestem potomkiem boga. Ealdwulf często opowiadał mi różne historie o Wodanie. Jedna z nich mówiła o tym, jak bóg w nagrodę obdarował naszych ludzi ziemią, którą nazwaliśmy Anglią. W innej Wodan rzucił wojenną włócznią, która przeleciała wokół Księżyca. W jeszcze innej jego tarcza podczas pełni lata okryła niebo ciemnością. Wodan potrafił też jednym ciosem miecza ściąć całe zboże świata. Uwielbiałem te opowieści. Były znacznie ciekawsze niż historie mojej macochy o cudach Świętego Kutberta. Odnosiłem wrażenie, że chrześcijanie zawsze biadają i zamartwiają się, w odróżnieniu od wyznawców Wodana, którzy nie byli skorzy do lamentów.

Czekaliśmy we dworze. To był, a w zasadzie ciągle jest, wspaniały, drewniany budynek, porządnie pokryty strzechą, o solidnej belkowej konstrukcji, z harfą stojącą na podwyższeniu i kamiennym paleniskiem pośrodku klepiska. Utrzymanie w nim płonącego wysoko ognia wymagało codziennej pracy tuzina niewolnych. Musieli oni najpierw przeciągnąć drewno przez groble, a potem przez wszystkie bramy, abyśmy pod koniec lata mieli na zimę zapas polan wyższy niż kościół. We wnętrzu dworu, pod dłuższymi ścianami, znajdowały się wypełnione ubitą ziemią drewniane ławy, które wyściełano wełnianymi chodnikami. Na nich właśnie spaliśmy, z dala od przeciągów. Psy myśliwskie

trzymaliśmy na znajdującej się poniżej podłodze, pokrytej warstwą liści paproci. Tam też mniej ważni w hierarchii społecznej mieszkańcy naszej twierdzy mogli spożywać posiłki podczas czterech wielkich uczt, które odbywały się w ciągu roku.

Tej nocy nie było uczt, jedliśmy tylko chleb i ser, zapijając je piwem. Ojciec czekał na mojego brata, zastanawiając się na głos, czy Duńczycy znów chcą nas niepokoić.

– Zwykle przybywają po żywność i łupy – wyjaśnił – ale zdarza się, że w niektórych miejscach zostają i zagarniają ziemię.

– Myślisz, że chcą naszej ziemi? – spytałem.

– Biorą każdą – odparł poirytowany. Zawsze denerwowały go moje pytania, lecz tej nocy martwił się i dlatego mówił dalej. – Ich własna ziemia jest nic niewarta – same kamienie i lód. Zamieszkują ją olbrzymy, których te lotry się boją.

Chciałem, żeby opowiedział mi coś więcej o olbrzymach, ale zaczął rozpamiętywać przeszłość.

– Nasi przodkowie – kontynuował po chwili – zawładnęli tymi terenami. Zawładnęli nimi, zagospodarowali i utrzymali je. Nie zrzekniemy się tego, co dali nam nasi ojcowie i dziadowie. Przepłynęli przez morze, tutaj walczyli, tu postawili swoje domostwa, tu umarli i tu zostali pogrzebani. To nasza ziemia, przesiąknięta naszą krwią i wzmocniona naszymi kośćmi. Nasza.

Był zły, ale to często mu się zdarzało. Spojrzał na mnie spode łba, jak gdyby zastanawiając się, czy jestem wystarczająco silny, by utrzymać Northumbrię, którą nasi przodkowie zdobyli, walcząc mieczami i włóczniami, przelewając za nią krew i uczestnicząc w rzeziach.

Chwilę później już spaliśmy, a przynajmniej mnie zmorzył sen. Myślę, że ojciec chodził wte i wewte po umocnieniach.

Przed świtem był już jednak z powrotem w dworze, wtedy też obudził mnie dźwięk rogu dobiegający z Wysokiej Bramy. Zsunąłem się z ławy prosto w objęcia budzącego się dnia. Na trawie połyskiwała rosa, nad głową krążyły orły, a zwabione wezwaniem rogu ogary ojca wypadły przez otwarte drzwi. Zobaczyłem, jak ojciec biegnie do Niskiej Bramy. Ruszyłem za nim, przeciskając się przez tłum mężczyzn, którzy tłoczyli się na szańcu i spoglądali na groblę.

Z południa nadciągali jeźdźcy. Było ich dwunastu. Na końskich kopytach perlily się krople rosy. Wierzchowiec brata podązał przodem. Był to nakrapiany ogier o dzikim spojrzeniu i osobliwym chodzie – cwałując, wyrzucał przednie nogi przed siebie. Nikt nie mógł pomylić go z innym koniem. Tylko że nie jechał na nim Uhtred. Mężczyzna w siodle miał bardzo długie włosy koloru jasnego złota, które podczas jazdy podskakiwały niczym koński ogon. Ubrany był w kolczugę, u jego boku kołysała się pochwa miecza, a przez ramię przewieszony miał topór. Byłem przekonany, że to ten sam człowiek, który poprzedniego dnia tańczył na wiosłach. Jego towarzysze mieli na sobie skórzane lub wełniane kaftany. Gdy zbliżyli się do fortecy, długowłosy mężczyzna, który wysforował się do przodu, dał znak, żeby pozostali zatrzymali konie. Podjechał tylko na odległość strzału z łuku, mimo że nikt ze stojących na szanцах mężczyzn nie trzymał strzały na cięciwie. Szarpnął za wodze, zatrzymując konia, i spojrzał na bramę. Z drwiącym grymasem powiódł uważnym wzrokiem po całym szeregu mężczyzn, następnie się skłonił, wyrzucił coś na ścieżkę i zawrócił konia. Trącił go ostrogami, zwierzę przyspieszyło, a obszarpani towarzysze galopem podążyli za nim w kierunku południowym.

Rzecz, którą długowłose wyrzucił na ścieżkę, była odcięta głowa mojego brata. Przyniesiono ją ojcu. Długo na nią patrzył, jednak na jego twarzy nie malowały się żadne uczucia. Nie zapłakał, nie skrzywił się, nie nachmurzył się gniewnie, po prostu patrzył na głowę swojego najstarszego syna. Po chwili spojrzał na mnie.

– Od dzisiaj – powiedział – nosisz imię Uhtred.

W ten oto sposób zostałem Uhtredem.

Ojciec Beocca upierał się, bym ponownie został ochrzczony. Twierdził, że w przeciwnym razie w niebie, gdy się tam stawię i powiem, że mam na imię Uhtred, nie będą wiedzieli, kim jestem. Nie podobał mi się ten pomysł, ale Gytha w pełni podzielała zdanie księdza. Ponieważ ojcu bardziej zależało na zadowoleniu żony niż moim, do kościoła przyniesiono beczkę i napełniono ją do połowy wodą morską. Beocca kazał mi do niej wejść i zaczął mi polewać głowę wodą.

– Przyjmij swojego sługę Uhtreda – modlił się – do błogosławionego grona świętych oraz zastępów najjaśniejszych aniołów.

Miałem nadzieję, że święci i aniołowie mają w niebie cieplej, niż ja tego dnia w beczce. Po chrzcie Gytha zapłakała nade mną, choć nie bardzo rozumiałem dlaczego. Zdecydowanie wolałbym, żeby ronila łzy nad moim nieżyjącym bratem.

Udało nam się dowiedzieć, co go spotkało. Trzy duńskie łodzie przyplłynęły do ujścia rzeki Aln, gdzie znajdowała się niewielka nadmorska osada. Rybacy i ich rodziny przezornie czmychnęli w głąb lądu, ale garstka mężczyzn ukryła się w lesie na wzgórzu i obserwowała ujście rzeki. Powiedzieli

nam, że Uhtred przybył o zmroku i zobaczył, jak wikingowie pochodniami podpalają domy. Nazywano ich wikingami, gdy byli przypluwającymi morzem łupieżcami, natomiast Duńczykami lub poganami – gdy handlowali. Ludzi z trzech okrętów uznano zatem za wikingów, ponieważ palili i grabili zagrody. Wydawało się, że w wiosce jest ich zaledwie kilku, a większość pozostała na statkach. Uhtred postanowił więc zjechać do płonących chałup i rozprawić się z tymi kilkoma, ale naturalnie była to zasadzka. Widząc mojego brata i jego jeźdźców, cała załoga statku ukryła się w północnej części wioski, po czym zaszła od tyłu oddział Uhtreda, zabijając jego samego i wszystkich towarzyszących mu ludzi. Ojciec twierdził, że śmierć jego najstarszego syna musiała być szybka, co stanowiło dla niego pewną pociechę. W rzeczywistości Uhtred nie mógł zginąć natychmiast, musiał żyć na tyle długo, by wyjawić Duńczykom, kim był. W przeciwnym razie skąd wiedzieliby, że jego głowę trzeba przywieźć do Bebbanburga? Rybacy mówili, że próbowali ostrzec mojego brata, choć obojętnie wątpię, by tak było. Ludzie gadają takie rzeczy, żeby nie obwiniać ich o zaistniałe nieszczęście. Czy Uhtred został ostrzeżony, czy nie, nie ma już żadnego znaczenia, bo nie przywróci mu to życia, a Duńczykom nie odbierze trzynastu pierwszorzędnych mieczy, trzynastu dobrych koni, kolczugi, hełmu ani mojego starego imienia.

Ale na tym nie koniec. Krótkie odwiedziny trzech statków nie były specjalnie wielkim wydarzeniem, lecz tydzień po śmierci brata rzekami przyplłynęła cała duńska flota z zamiarem zdobycia Eoferwicu. Udało im się to w dzień Wszystkich Świętych i ta symboliczna data napełniła łzami oczy Gythy, która uznała, że Bóg nas opuścił. Ale były również i dobre wieści. Wszystko wskazywało na to, że mój stary imiennik,

król Osbert, zawarł przymierze ze swoim rywalem, niedoszłym królem Aellą. Obaj zgodnie postanowili odsunąć na bok wzajemne pretensje i roszczenia, połączyć siły i odbić miasto. Teraz wydaje się to proste, ale dojście do tego porozumienia wymagało czasu. Posłańcy przynosili wieści, doradcy mącili, księża wznosili modły i dopiero w Boże Narodzenie Osbert i Aella przypieczętowali zawarty pokój przysięgami. Potem kazali stawić się ludziom mojego ojca, ale naturalnie nie do pomyslenia było, abyśmy maszerowali zimą. Pozwoliliśmy więc Duńczykom okupować Eoferwic do wczesnej wiosny. Wtedy nadeszły wieści, że northumbryjska armia zbierze się poza miastem. Ku mojej wielkiej radości ojciec ogłosił, że pojedą na południe razem z nim.

– Jest na to za młody – sprzeciwiła się Gytha.

– Przecież ma już prawie dziesięć lat – przekonywał ją ojciec – musi uczyć się walki.

– Przysłużyłby się lepiej, gdyby kontynuował naukę – nie dawała za wygraną macocha.

– Bebbanburg nie potrzebuje martwego uczonego. Uhtred jest teraz dziedzicem, musi wiedzieć, jak wojować.

Tamtej nocy kazał Beocce pokazać mi przechowywane w kościele pergaminy, na których napisano, że jesteśmy panami tej ziemi. Od dwóch lat duchowny uczył mnie czytać, ale niestety byłem złym uczniem i ku rozpaczy nauczyciela teraz kompletnie nie potrafiłem się połapać w zapisach na starych kartach. Beocca westchnął ciężko i wyjaśnił:

– Opisują posiadłości twojego ojca. Tu jest napisane, że ta ziemia należy do niego na mocy prawa Bożego i ludzkiego.

Wyglądało na to, że pewnego dnia te tereny staną się moją własnością, gdyż jeszcze tej samej nocy ojciec kazał spisać Beocce nowy testament. „Po mojej śmierci – dyktował – Bebbanburg

przejdzie w posiadanie mojego syna Uhtreda”. Miałem zostać ealdormanem, a cała ludność mieszkająca od rzeki Tuede po rzekę Tine miała złożyć mi hold.

– Kiedyś byliśmy królami tych ziem – powiedział ojciec – a nasze władztwo nazywano Bernicją. – Zanurzył pieczęć w czerwonym wosku i zostawił ślad wilczego łba na swojej ostatniej woli.

– Znów powinniśmy być królami – stwierdził wuj Aelfric.

– Tytuły nie mają znaczenia – odparł krótko ojciec – dopóki ludzie są nam posłuszni.

Potem kazał Aelfricowi przysiąc na grzebień Świętego Kútberta, że uszanuje jego nową wolę i uzna mnie za kolejnego Uhtreda z Bebbanburga. Wuj poprzysiągł.

– Jednak nieprędko to się stanie – rzekł ojciec. – Teraz urządzimy tym Duńczykom rzeź jak owcom w zagrodzie i wrócimy tu z łupami, okryci sławą.

– Prośmy Boga, by tak się stało – zakończył Aelfric.

On i trzydziestu ludzi mieli zostać w Bebbanburgu, by strzec fortecy i chronić kobiet. Tamtej nocy wuj ofiarował mi skórzany płaszcz, by osłaniał mnie przed ciosami oraz – to był najwspanialszy dar – hełm, którego otok kował Ealdwulf okuł pasem z połączanego brązu.

– Żeby wiedzieli, że jesteś księciem – rzekł wuj.

– Nie jest księciem – poprawił go ojciec – tylko dziedzicem ealdormana.

Jednak był zadowolony z podarunków, które sprawił mi jego brat, i sam dołożył do nich jeszcze dwa: krótki miecz i konia. Miecz miał starą, wielokrotnie ostrzoną klingę i skórzaną pochwę wyłożoną runem. Jego rękojeść była masywna. Całość była dość toporna, ale tamtej nocy położyłem się spać z mieczem ukrytym pod kocem.

Następnego poranka, gdy macocha popłakiwała na szan-
cach Wysokiej Bramy, my pod błękitem bezchmurnego nieba
ruszyliśmy na wojnę. Dwustu pięćdziesięciu ludzi kierowało
się na południe, podążając za chorągwią z łbem wilka.

Był rok 867, a ja po raz pierwszy ruszałem na wojnę.

Od tamtej pory stało się to dla mnie chlebem powszednim.

– Nie będziesz walczył w murze tarcz – nakazał mi ojciec.

– Nie będę, ojcze.

– Tylko dorośli mężczyźni mogą w nim stać – powiedział. –
Będziesz wszystko obserwował, uczył się i zobaczysz, że naj-
niebezpieczniejsze ciosy otrzymuje się nie mieczem czy to-
porem, bo tę broń widać w rękach wroga. Najgorsze są ciosy
niewidoczną włócznią, która skrycie wyłania się spod tarczy
i tnie cię po kostkach.

Przemierzając daleką drogę na południe, ojciec z niechęcią
udzielił mi wielu innych rad. Z dwustu pięćdziesięciu męż-
czyzn, którzy ruszyli z Bebbanburga do Eoferwicu, stu dwu-
dziestu jechało na koniach. Znaleźli się wśród nich drużyna
przyboczna mojego ojca oraz zamożniejsi chłopci, których stać
było na zakup zbroi, tarczy i miecza. Pozostali wojowie nie
byli bogaci, jednak zaprzysięgli wierność mojemu ojcu, więc
maszerowali z sierpami, włóczniami, oszczepami do polowa-
nia na ryby i toporami. Niektórzy z nich nieśli łuki myśliw-
skie. Wszyscy otrzymali rozkaz, by zabrać tygodniowy zapas
żywności, na który najczęściej składały się czerstwy chleb,
kawalek twardego sera i wędzone ryby. Wielu towarzyszyły
kobiety. Ojciec wprawdzie zakazał im uczestnictwa w wypra-
wie na południe, ale ostatecznie ich nie odesłał, wiedząc, że
i tak pójdą za swoimi mężczyznami. Poza tym uważał, że jego

ludzie będą lepiej walczyć, mając świadomość, że przyglądają im się żony i kochanki. Był absolutnie pewien, że zaciężna armia z Northumbrii urządzi Duńczykom straszliwą rzeź. Żył przekonanie, iż jesteśmy najtwardszymi wojownikami w całej Anglii, znacznie twardszymi niż te mięczaki z Mercji*.

– Twoja matka była Mercjanką – dodał, ale nie rozwinął tej myśli.

Nigdy nie mówił o matce. Wiem, że byli małżeństwem przez niecały rok, że mnie urodziła i że była córką ealdormana. Lecz dla mojego ojca mogłaby równie dobrze wcale nie istnieć. Utrzymywał, że pogardza Mercjanami, ale nie tak bardzo jak rozpieszczonymi Sasami zachodnimi z Wessexu**.

– W Wessexie nie wiedzą, co to bieda – twierdził, choć swoje najsurowsze sądy zachował dla mieszkańców królestwa Anglii Wschodniej. – Ci Anglicy żyją na bagnach – powiedział mi kiedyś – jak jakieś żaby.

My, Northumbryjczycy, od zawsze nienawidziliśmy Anglików z Anglii Wschodniej, gdyż dawno temu zwyciężyli nas w bitwie i zabili Aethelfritha – naszego króla i męża Bebby, od której imienia nazwano Bebbanburg. Znacznie później odkryłem, że zimą król Anglii Wschodniej dał oblegającym Eoferwic Duńczykom konie i schronienie, dlatego mój ojciec miał rację, że pogardzał jej mieszkańcami. Byli zdradzieckimi żabami.

* Anglowie brytyjscy dzielili się na wschodnich z królestwa Anglii Wschodniej (staroang. East Anglia), północnych, czyli Northumbryjczyków (Bernicjan i Deirczyków) z Northumbrii (staroang. Northumbria – kraj na północ od rzeki Humber) oraz zachodnich, czyli Mercjan, Hwikków i Lindów z Mercji (staroang. Mercia – kraj pograniczny).

** Sasi brytyjscy dzielili się na zachodnich z Wessexu (staroang. West Seaxe – kraj Sasów zachodnich), wschodnich z Essexu (staroang. East Seaxe – kraj Sasów wschodnich), południowych z Sussexu (staroang. Suð Seaxe – kraj Sasów południowych) i środkowych z Middlesexu (staroang. Mið Seaxe – kraj Sasów środkowych). W czasach opisywanych w powieści Sussex był częścią Wessexu, a Essex i Middlesex – Mercji.

Beocca jechał razem z nami na południe. Wprawdzie ojciec nie przepadał za księżmi, lecz nie chciał iść na wojnę bez służby bożego posyłającego do nieba modlitwy. Z kolei Beocca był mu szczerze oddany – ojciec wyswobodził go z niewolnictwa i zapewnił kształcenie. Myślę, że nawet gdyby ojciec był wyznawcą samego diabła, Beocca przymykałby na to oko. Był człowiekiem młodym, gładko ogolonym i nadzwyczaj brzydkim: miał odrażającego zęza, splaszczony nos, sterzące we wszystkie strony rude włosy i niewładną lewą rękę. Był również bardzo mądry, czego wówczas nie doceniałem, żywiąc do niego urazę o to, że zadawał mi lekcje. Ten biedak naprawdę bardzo się starał, by nauczyć mnie liter, lecz ja szydziłem z jego wysiłków, wołając dostać baty od ojca, niż skupić się na alfabecie.

Poruszaliśmy się starą rzymską drogą, przekroczyliśmy most na rzece Tine i ciągle kierowaliśmy się na południe. Ojciec mówił, że Rzymianie byli gigantami, którzy budowali niezwykle rzeczy, ale wrócili do Rzymu i umarli, i teraz jedyni, którzy się spośród nich ostali, to księża. Drogi zbudowane przez tych gigantów ciągle jednak istniały, a im dalej się posuwaliśmy na południe, tym więcej ludzi do nas dołączało, aż w końcu po wrzosowiskach po obu stronach kamiennej nawierzchni maszerowały całe tłumy. Zbrojni spali pod gołym niebem, natomiast ojciec i jego ludzie nocowali w opactwach oraz stodołach.

Nasz pochód rozbijał się jednak także na mniejsze grupki. Pomimo swoich dziewięciu lat widziałem, w jaki sposób się to odbywa. Mężczyźni nieśli ze sobą trunki albo też z mijających po drodze wiosek kradli miód pitny lub piwo i często się upijali. Potem zwalali się na poboczne drogi, ale nikt nie zwracał na to uwagi.

- Dogonią nas – machał ręką ojciec.
- Nie jest dobrze – powiedział do mnie Beocca.
- Dlaczego?

- Brakuje nam dyscypliny. Czytałem o wojnach prowadzonych przez Rzymian i wiem, że bez dyscypliny nie sposób zwyciężać.

- Dogonią nas – powtórzyłem za ojcem.

Tej nocy dołączyli do nas wojownicy z miejscowości zwanej Cetreht. Dawno temu, w wielkiej, wspaniałej bitwie pokonaliśmy tam Walińczyków. Nowi śpiewali pieśni o tej bitwie, o tym, jak napoiłiśmy kruki krwią cudzoziemców. Słowa te wprawiły ojca w dobry nastrój. Powiedział mi, że zbliżamy się do Eoferwicu i zapewne jutro dołączymy do Osberta i Aelli, a pojutrze znowu napoiemy kruki. Siedzieliśmy przy ognisku, jednym z setek rozpalonych na polach. Na południe od nas, nad odległym krańcem równiny na niebie rozciągała się luna. Wiedziałem, że oznaczała jedno: northumbryjska armia się zebrała.

- Kruk to ptak Wodana, prawda? – spytałem nerwowo.

Ojciec spojrział na mnie krzywo.

- Kto ci to powiedział? – Wzruszyłem tylko ramionami. – Ealdwulf? – domyślił się, wiedząc, że kowal, który pozostał z Aelfrikiem w Bebbanburgu, w tajemnicy przed wszystkimi był poganinem.

- Tak tylko słyszałem – wykręciłem się w nadziei, że dzięki temu uda mi się nie oberwać. – Wiem przecież, że wywodziemy się od Wodana.

- To prawda – zgodził się ojciec – ale teraz mamy nowego Boga. – Popatrzył groźnie po obozie i upijających się wojach. – Wiesz, kto wygrywa bitwy, chłopcze?

- My, ojciec.

– Ta strona, która jest mniej pijana – powiedział. Po chwili dodał: – W czasie wojny jest więcej pijaństwa.

– Dlaczego?

– Mur tarcz to potworne miejsce. – Zapatrzył się w ogień. – Brałem udział w sześciu murach tarcz – ciągnął – i za każdym razem modliłem się, żeby to był ostatni raz. Twój brat był człowiekiem, który mógł pokochać mur tarcz. Miał w sobie odwagę. – Zamilkł zamyślony i się nachmurzył. – Chcę głowy tego człowieka, który przyniósł jego głowę. Chcę napluć w martwe oczy zabójcy i zatknąć jego czerep na palu nad Niską Bramą.

– Tak zrobisz – powiedziałem mu.

Uśmiechnął się szyderczo na te słowa.

– Co ty tam wiesz... Zabrałem cię ze sobą, chłopcze, bo musisz zobaczyć bitwę. Bo nasi ludzie muszą widzieć, że tu jesteś. Ale nie będziesz walczył. Jesteś jak szczenię, które przygląda się starym psom zagryzającym dzika, ale samo nie kąsa. Patrz i ucz się, patrz i ucz się, a może któregoś dnia na coś się przydasz. Lecz teraz jesteś tylko szczenięciem.

Pożegnał mnie machnięciem ręki.

Następnego dnia rzymska droga poprowadziła nas przez bardzo płaski teren, przecinając groble i rowy. W końcu dotarliśmy do miejsca, gdzie stały szalasy połączonych sił Osberta i Aelli. Poza nimi, pomiędzy pojedynczymi drzewami, widać było już Eoferwic. Gród, w którym znajdowali się Duńczycy.

Eoferwic był i nadal jest wiodącym miastem północnej Anglii. Stoi w nim wspaniałe opactwo i rezyduje tam arcybiskup. Jest też twierdza, miasto ma wysokie mury i rozległe targowisko. Położone jest nad rzeką Ouse, a jego mieszkańcy chępią się przerzuconym przez nią mostem. Most mostem, ale tą rzeką z odległego morza mogą do miasta przyplwać

statki i tą właśnie drogą dostali się tu Duńczycy. Musieli wiedzieć, że Northumbria jest osłabiona wojną domową i że prawowity król Osbert wyruszył na zachód, by zmierzyć się z siłami pretendenta do tronu, Aelli. Pod nieobecność władcy zdobyli miasto. A uzyskanie wieści, że Osbert jest nieobecny, nie było znowu takie trudne. Konflikt pomiędzy Osbertem a Aellą narastał od tygodni, a w Eoferwicu aż roilo się od kupców, w tym wielu zamorskich, którzy z pewnością słyszeli o zażartej rywalizacji pomiędzy królem a jego przeciwnikiem. Zdążyłem się już nauczyć, że Duńczycy są mistrzami szpiegowania. Piszący kroniki mnisi twierdzą, że przybyli oni znikąd, że ich łodzie ze smoczymi łbami na dziobach wylaniają się niespodziewanie z niebieskiej próżni, ale rzadko kiedy tak się dzieje. Wikingowie potrafią wprawdzie znieoczekana przypląć na kilku łodziach i złupić jakąś osadę, ale ich duże wojenne floty przybywają na ziemię nękanie kłopotami. Znajdują jątrzącą się ranę i drążą ją jak robaki.

Podjechaliśmy z ojcem oraz jego oddziałem pod miasto, wszyscy na koniach, wszyscy w kolczugach lub skórzanych zbrojach. Na szaniecach widzieliśmy wroga. Część umocnień zbudowano z kamienia – wiedzieliśmy, że była to robota Rzymian – lecz większą część miasta chroniły wały ziemne zwieńczone wysokimi drewnianymi palisadami. Po wschodniej stronie brakowało fragmentu ogrodzenia. Zdaje się, że ta jej część została spalona, ponieważ na okopie w miejscu, gdzie zaczęto wbijać nowe pale, widniały kawałki osmalonego drewna.

Za nowymi słupami widniała bezładna mieszanka strzech i drewnianych dzwonnicy trzech kościołów, a na rzece – maszty duńskiej floty. Nasi zwiadowcy utrzymywali, że składały się na nią trzydzieści cztery statki, co oznaczało, że armia

Duńczyków liczyła około tysiąca ludzi. Nasza była większa, tworzyło ją blisko półtora tysiąca zbrojnych, choć trudno było ich dokładnie zliczyć. Zdawało się, jakby nikt nimi nie dowodził. Dwóch przywódców, Osbert i Aella, mieli oddzielne obozy i choć oficjalnie zawarli pokój, odmówili porozumiewania się ze sobą, komunikując się tylko za pośrednictwem posłańców. Mój ojciec, który był trzecią najważniejszą osobą w armii, mógł rozmawiać z obydwojema, ale nie udało mu się przekonać ani Osberta, ani Aelli, by się ze sobą spotkali, i w rezultacie musiał samotnie borykać się z uzgodnieniem planu kampanii. Osbert chciał oblegać miasto i głodem wypędzić z niego Duńczyków, Aella natomiast ponaglał do natychmiastowego ataku. Upierał się, że skoro szaniec został przerwany, atak mógłby dotrzeć głęboko w głąb płataniny ulic, gdzie nasi ludzie wytropiliby wszystkich ukrywających się Duńczyków i wybili ich jak psy. Nie wiem, za którą opcją opowiadał się ojciec, bo nigdy o tym nie mówił, ale ostatecznie problem rozwiązał się sam.

Nasza armia nie mogła czekać. Zapasy żywności szybko się wyczerpały i wojownicy udawali się coraz dalej w poszukiwaniu czegoś do jedzenia, a niektórzy z tych wypraw już nie wracali, bo uciekali do swoich domów. Inni narzekali, że ich ziemia leży odłogiem i że czeka ich chudy rok, jeśli nie powrócą do gospodarstw. Zwołano więc radę wszystkich wysokich rangą mężów. Ciągnęła się od świtu do nocy, a jej uczestnicy przez cały ten czas się ze sobą spierali. Ponieważ wziął w niej udział Osbert, Aella się już nie pojawił, choć jeden z jego głównych stronników robił aluzje, jakoby niechęć Osberta do ataku na miasto wynikała ze strachu. Może w tym oskarżeniu było trochę racji, gdyż Osbert dyskretnie przemilczał ten zarzut. W zamian jednak zaproponował,

by za murami miasta postawić własny fort. Twierdził, że trzy, może cztery takie forty zatrzymają Duńczyków jak w pułapce. Można by je obsadzić najlepszymi wojownikami, a pozostałych odesłać, by doglądali swoich gospodarstw. Ktoś inny zaproponował przerzucenie nowego mostu przez rzekę. Miał on uwięzić duńską flotę. Upierał się przy tym pomysłe do znudzenia, choć chyba wszyscy wiedzieli, że nie mamy dość czasu, by stawiać kolejny most na tak szerokiej rzece.

– Poza tym – powiedział król Osbert – my przecież chcemy, żeby Duńczycy wynieśli się na swoich statkach. Niech wracają na morze. Niech wracają i nękają kogoś innego.

Biskup błagał o więcej czasu, twierdząc, że ealdorman Egbert, właściciel ziem na południe od Eoferwicu, wkrótce nadjedzie ze swoimi ludźmi.

– Nie ma też Ricsiga – zauważył drugi ksiądz, mając na myśli innego z wielkich panów.

– Jest chory – wyjaśnił Osbert.

– Na tchórza – prychnął pogardliwie rzecznik Aelli.

– Daj im trochę czasu – poprosił biskup. – Z siłami Egberta i Ricsiga będziemy mieć dość ludzi, by przerazić Duńczyków samą naszą liczbą.

Podczas narady ojciec nie odezwał się słowem, choć wielu chciało usłyszeć jego zdanie. Jego milczenie zdumiało mnie. Tej nocy jednak Beocca wyjaśnił mi postawę ojca.

– Gdyby stwierdził, że powinniśmy zaatakować, wyglądałoby na to, że trzyma z Aellą. Gdyby natomiast opowiedział się za oblężeniem, uznano by, że jest po stronie Osberta.

– A to ma w ogóle jakieś znaczenie?

Beocca spojrział na mnie poprzez płomienie ogniska, a raczej jego jedno oko patrzyło na mnie, podczas gdy drugie zerkalo gdzieś w noc.

– Po pokonaniu Duńczyków – powiedział – spór pomiędzy Osbertem a Aellą rozgorzeje na nowo. Twój ojciec nie chce zadzierać z żadnym z nich.

– Ale przecież bez względu na to, kogo poprze – nie rozumiałem – i tak wygra.

– A jeżeli oni się wzajemnie pozabijają? – zapytał Beocca. – Kto wtedy zostanie królem?

Spojrzałem na niego, pojawił się problem, i nic nie powiedziałem.

– A kto będzie królem po nim? – spytał znowu Beocca i wskazał mnie. – Ty. Tylko że król powinien umieć czytać i pisać.

– Król – odparłem z pogardą – zawsze może nająć sobie ludzi, którzy potrafią czytać i pisać.

Następnego poranka problem, czy atakować, czy rozpocząć oblężenie, sam się rozwiązał. Nadeszły wieści, że u ujścia rzeki Humber pojawiły się kolejne duńskie statki, co oznaczało tylko jedno: za kilka dni siły wroga zostaną wzmocnione. W obliczu tej nowej sytuacji mój milczący do tej pory ojciec wreszcie przemówił:

– Musimy zaatakować – powiedział zarówno Osbertowi, jak i Aelli – nim przyplyną nowe statki.

Aella z entuzjazmem przystał na tę propozycję i nawet Osbert zrozumiał, że kolejne duńskie łodzie oznaczają, iż wszystko się zmieniło. Poza tym przebywający w mieście Duńczycy mieli problemy z nową częścią wałów. Pewnego poranka zobaczyliśmy, że wstawili cały nowiutki, zrobiony z surowego, świeżego drewna fragment brakującej palisady. Lecz tego dnia wiał silny wiatr i jeden mocniejszy podmuch przewrócił całą konstrukcję. Wprawilo nas to w dobry nastrój. „Ci Duńczycy – gadali pomiędzy sobą mężczyźni – nawet nie potrafią postawić ogrodzenia”.

– Za to potrafią budować statki – zauważył ojciec Beocca.
– I co z tego? – zdziwiłem się.
– Człowiek, który potrafi zbudować statek – tłumaczył mi cierpliwie młody ksiądz – potrafi też zbudować ogrodzenie. To nie takie trudne, jak zbudowanie statku.

– Ale ich palisada się przewróciła!
– Może miała się przewrócić? – zapytał Beocca, a gdy spojrziałem na niego pytającym wzrokiem, wyjaśnił: – Może chcą, żebyśmy zaatakowali właśnie w tym miejscu?

Nie wiem, czy powiedział ojcu o swoich podejrzeniach, ale nawet gdyby to zrobił, ojciec bez wątpienia zlekceważyłby je. Nie ufał opiniom Beokki w kwestiach wojny. Uważał, że ksiądz potrzebny jest tylko do przekonywania Boga, żeby rozgromił Duńczyków. Beocca rzetelnie wywiązywał się z tego zadania. Modlił się dużo i żarliwie, prosząc Boga, by zesłał nam zwycięstwo.

Dzień po tym, jak zwałił się nowy fragment palisady, daliśmy Bogu szansę, by wysłuchał tych modłów.

Ruszyliśmy do ataku.

Nie mam pojęcia, czy każdy woj, który brał udział w ataku na Eoferwic, był pijany, jednak po obozie krążyło nie tylko wystarczająco dużo miodu pitnego, ale i piwa i wina z soku brzozowego. Pijaństwo trwało do późnych godzin nocnych, a gdy obudziłem się o świcie, wielu mężczyzn wymiotowało. Tych kilku, którzy, jak mój ojciec, posiadało koszulki kolcze, nałożyło je na siebie. Większość wyposażona była w skórzane zbroje, a za osłonę niektórych służyły jedynie płaszcze. Oselkami ostrzono broń. Po obozie chodzili księża, udzielając błogosławieństwa, mężczyźni składali

przysięgi braterstwa i lojalności. Niektórzy jednali się ze sobą, obiecując równy podział łupów, kilku wyglądało blade, a paru wymknęło się po groblach przecinających płaską, wilgotną okolicę.

Grupa mężczyzn otrzymała rozkaz pozostania w obozie i pilnowania kobiet oraz koni, choć zarówno ja, jak i ojciec Beocca mieliśmy dosiąść wierzchowców.

– Zostaniesz na koniu – nakazał mi ojciec, po czym zwrócił się do duchownego: – a ty razem z nim.

– Oczywiście, mój panie – odparł Beocca.

– Gdyby cokolwiek się stało – ojciec umyślnie nie sprecyzował tej myśli – ruszajcie do Bebbanburga, zamknijcie bramy i tam czekajcie.

– Bóg jest po naszej stronie – rzekł na to Beocca.

Ojciec wyglądał na wielkiego wojownika, którym w rzeczy samej był, choć ostatnio narzekał, że robi się za stary, by walczyć. Siwiejąca broda opadała mu na kolczugę, na której zawiesił krucyfiks z kości wołu – podarunek od Gythy. Nosił skórzany, nabijany srebrnymi ćwiekami pas, a jego potężny miecz zwany Łamaczem Kości znajdował się w skórzanej pochwie obwiązanej taśmami z połączanego brązu. Jego wysokie buty miały na kostkach żelazne okucia. Przypomniało mi to o radzie, jakiej udzielił na temat walki w murze tarcz. Jego wypolerowany helm lśnił, a część osłaniająca twarz – z otworami na oczy i usta – była inkrustowana srebrem. Okrągła, wykonana z drewna lipowego tarcza miała ciężkie, żelazne umbo, pokryta była skórą i widniał na niej wizerunek wilczego łba. Ealdorman Uhtred szedł na wojnę.

Zagrały rogi zwołujące armię. W szykach panował bałagan. Wszędzie wybuchały kłótnie, kto powinien stać po lewej, a kto po prawej stronie. Beocca powiedział, że ustaly one

dopiero wtedy, gdy biskup rzucił kośćmi. Król Osbert ustawił się więc po prawej stronie, Aella po lewej, a mój ojciec w środku. Gdy ponownie zabrzmiała muzyka rogów, trzy chorągwie trzech przywódców ruszyły do przodu. Wojska zebrały się pod nimi. Drużyna przyboczna mojego ojca, jego najlepsi wojownicy, podążała z przodu, a za nią szły grupy angielskich tanów. Byli to znaczni panowie, posiadacze wielkich majątków ziemskich, niektórzy mieli nawet własne twierdze. Przyjmując we dworze tanów, ojciec zawsze sadzał ich w sali biesiadnej na podwyższeniu. Musiał jednak na nich uważać, na wypadek gdyby mieli ambicje zająć jego miejsce. Teraz jednak lojalnie go wsparli, przyprowadzając ze sobą ceorłów – wolnych chłopów mających własny kawałek ziemi. Mężczyźni walczyli w grupach rodowych lub pośród przyjaciół. W armii było mnóstwo chłopców, choć ja jako jedyny jechałem na własnym koniu oraz miałem swój miecz i helm.

Za niezburzoną palisadą, po obu stronach dziury powstałej w miejscu, gdzie przewrócił się fragment ogrodzenia, widziałem pojedynczych Duńczyków. Utworzyli mur tarcz na szczycie ziemnego wału. Był on wysoki na co najmniej dziesięć-dwanaście stóp, a do tego stromy. Trudno było się po nim wdrapać, by stanąć twarzą w twarz z czekającym tam wrogiem. Mimo to byłem przekonany, że zwycięstwo jest nasze. Miałem wtedy prawie dziesięć lat.

Duńczycy obrzucali nas obelgami, jednak znajdowaliśmy się zbyt daleko, by je słyszeć. Ich tarcze, tak jak nasze, pomalowane były na żółto, czarno, brązowo i niebiesko. Nasi ludzie zaczęli uderzać bronią o drewno tarcz, czyniąc mroźny krew w żyłach hałas. Tę muzykę armii słyszałem po raz pierwszy – melodię wygrywaną przez jesionowe drzewce włóczni, żelazne ostrza mieczy i tarcze.

– Wojna to coś strasznego – powiedział Beocca. – Coś potwornego.

Nie odpowiedziałem. Uważałem wojnę za cudowną i pełną chwały.

– W murze tarcz giną ludzie – rzekł Beocca, po czym ucałował zawieszony na szyi drewniany krzyżyk. – Nim ten dzień się skończy, bramy niebios i piekiel nie pomieszczą tłoczących się w nich dusz – dodał ponuro.

– Myślałem, że polegli w boju idą do pałacu umarłych.

Beocca rzucił mi dziwne spojrzenie, wydawał się mocno zaskoczony.

– Kto ci to powiedział?

– A... tak słyszałem w Bebbanburgu – odparłem ostrożnie, uważając, żeby nie zdradzić, że całą swą wiedzę o dawnych bogach czerpałem z opowieści kowala Ealdwulfa, które snuł, gdy przyglądałem się, jak przemienia żelazne pręty w ostrza mieczy.

– Tak wierzą poganie – rzekł ze srogą miną Beocca. – Wierzą, że martwi wojownicy zabierani są do pałacu umarłych Wodana, by ucztować w nim do końca świata, ale jest to żalośnie błędne wierzenie. Lecz co tu się dziwić – Duńcy cy zawsze błędzili. Kłaniają się bożkom, nie chcą otworzyć swoich serc na Boga. Nie potrafią wejść na drogę Prawdy.

– Ale męczyzna musi umrzeć z mieczem w dłoni – nie dawałem za wygraną.

– Widzę, że kiedy to wszystko się skończy, muszę dać ci kilka porządnych lekcji z katechizmu – oznajmił surowo ksiądz.

Nic już nie powiedziałem. Patrzyłem, starając się zachować w pamięci najdrobniejszy szczegół tego dnia. Niebo było intensywnie niebieskie jak latem, zaledwie kilka białych

chmurek strzępiło się na zachodzie, a promienie słońca odbijały się od ostrzy naszych włóczyń niczym letnie światło migoczące na falach morskich.

W miejscu, w którym stała armia, łąka upstrzona była pierwiosnkami. Z lasu za naszymi plecami, gdzie tłum kobiet przyglądał się wojsku, zakukała kukułka. Wiał lekki wietrzyk, a na płynącej leniwie rzece kołysały się łabędzie. W powietrze wzbijały się prawie pionowe słupy dymu z palenisk w Eoferwicu. Widok ten przypomniiał mi o wielkiej uczcie, która miała się odbyć tego wieczoru w mieście, uczcie, na której królować będzie pieczona wieprzowina lub cokolwiek innego, co tylko zdołamy znaleźć w składach wroga. Niektórzy z ustawionych w pierwszych szeregach naszych ludzi wybiegali, obrzucając Duńczyków obelgami, prowokując ich, by podeszli bliżej i wdali się w potyczki jeden na jednego, lecz nikt po stronie nieprzyjaciela nie złamał szyku. Wrogowie czekali, wpatrzni w nas, z włóczyńiami w gotowości, tworząc mur tarcz. Nasi ponownie zadęli w rogi. Okrzyki i walenie w tarcze ustały, gdyż northumbryjska armia powoli ruszyła do przodu.

Szliśmy nierówno. Dopiero znacznie później zrozumiałem wewnętrzny opór, jaki czują wojownicy przed atakowaniem muru tarcz, szczególnie takiego, który jest ustawiony na samej górze stromego wału ziemnego. Lecz tamtego dnia wprost nie mogłem się doczekać, żeby nasza armia z impetem ruszyła na zuchwałych Duńczyków i rozniosła ich w pył. Beocca musiał poskramiać moje zapędy, mocno trzymając wodze mego konia i pilnując, bym trzymał się za ostatnimi szeregami.

- Musimy czekać, aż nasi przedrą się przez obronę.
- Ale ja chcę zabić Duńczyka! - zaprotestowałem.
- Nie bądź głupi, Uhtredzie - zganiał mnie ze złością duchowny. - Nawet jeśli zabiłbyś jakiegoś Duńczyka, to i tak

pewnie twój ojciec zostałby bez synów. Teraz jesteś jego jedynym potomkiem i twoim obowiązkiem jest przeżyć.

Aby wypełnić ten obowiązek, trzymałem się na uboczu, obserwując, jak nasza napierająca w kierunku miasta armia ospale zagrzewa się do walki. Po lewej stronie mieliśmy rzekę, po prawej opustoszały obóz, a przed nami – dziurę w murach miasta, która aż się prosiła, by przez nią przeleźć. Za nią, w ciszy, czekali na nas Duńczycy. Ich tarcze zachodziły na siebie.

– Najodważniejsi ruszą przodem – poinformował mnie Beocca. – Twój ojciec będzie pośród nich. Utworzą klin, nazywany przez łacińskich autorów *caput porcinum*. Czy wiesz, co znaczą te słowa?

– Nie. – Nie wiedziałem i nie bardzo miałem ochotę się dowiedzieć.

– Świński łeb. Jak kiel dzika. Najodważniejsi pójdą przodem i jeżeli uda im się złamać szyk wroga, pozostali za nimi podążą.

Beocca miał rację. Na przedzie naszych szeregów tworzyły się trzy kliny, po jednym z drużyn przybocznych Osberta, Aelli i mojego ojca. Mężczyźni stali blisko siebie, a ich tarcze zachodziły na siebie tak jak u Duńczyków. Natomiast w tylnych szeregach każdego klina tarcze trzymano uniesione wysoko, tworząc coś w rodzaju zadaszienia. Kiedy nasi byli gotowi, wydali gromki okrzyk bojowy i ruszyli naprzód. Spodziewałem się, że zaczną biec, ale szyk biegnących wojów uległby rozluźnieniu. Człowiek walczący w klinie patrzy na bitwę niczym w zwolnionym tempie, wystarczająco wolnym, by zdążyć ocenić, jak silny jest wróg, i zacząć się bać, że reszta armii nie podąży za klinem. A jednak podążyła. Trzy kliny nie przesunęły się dalej niż o dwadzieścia kroków, gdy znajdująca się za nimi masa zbrojnych ruszyła do przodu.

– Chcę być bliżej – powiedziałem.

– Poczekasz tutaj – zdecydował Beocca.

Teraz rozbrzmiały krzyki zarówno wzywające wroga do walki, jak i dodające odwagi atakującym. Nagle stojący na murach miasta łucznicy zwolnili cięciwy. Przed oczami śmignęły mi pióra, a strzały spadły na nasze kliny. Chwilę później nadleciały włócznie – wzbily się łukiem ponad duńskimi szykami i runęły na wystawione do góry tarcze. Ze zdumieniem stwierdziłem jednak, że chyba nikt po naszej stronie nie został ranny, mimo że z tarcz sterczały powbijane strzały i włócznie. W dalszym ciągu trzy kliny kontynuowały natarcie. Teraz nasi łucznicy przystąpili do kontrataku, a z szeregów tuż za klinami wyrwała się garstka wojów, którzy cisnęli włóczniami w ścianę tarcz wroga.

– Już niewiele brakuje – rzekł nerwowo Beocca.

Przeżegnał się. Zaczął szeptać modlitwy, a jego sparaliżowana ręka drżała.

Obserwowałem klin ojca. Był środkowy, z przodu powiewała chorągiew z głową wilka. Nagle ściśle zachodzące na siebie tarcze zniknęły w rowie wykopanym przed ziemnym wałem. Wiedziałem, że ojciec znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, i w myślach namawiałem go gorąco, by zwyciężył, by zabijał, by jeszcze bardziej rozslawił imię Uhtreda z Bebbanburga, gdy nagle klin z tarcz zaczął wylaniać się z rowu i niczym jakaś potworna bestia pełznąć po wale.

– Mają przewagę – powiedział Beocca stonowanym głosem, którego zwykł używać, gdy mnie uczył. – Stopy nieprzyjaciela są łatwym celem, gdy podchodzi się od dołu.

Myślę, że w ten sposób próbował pocieszyć sam siebie, ale ja i tak mu wierzyłem. Drużyna ojca, która jako pierwsza wdrapała się na wał, musiała rzeczywiście skupić się na

duńskich stopach. Nasi wojownicy z impetem starli się z wrogą ścianą tarcz. Teraz nic nie widziałem, jedynie unoszące się i opadające ostrza. Słyszałem też ten dźwięk, prawdziwą muzykę bitwy wygrywaną przez uderzenia żelaza o drewno i żelaza o żelazo. Mimo to klin w dalszym ciągu parł naprzód. Niczym ostry jak brzytwa kiel dzika, dziurawił duński mur tarcz i posuwał się dalej. I choć Duńczycy zawinęli się wokół klina, wyglądało na to, że nasi wygrywają, gdyż przedzierali się przez ziemny wał. Wojownicy stojący z tyłu musieli wyczuć, że ealdorman Uhtred przywiódł ich do zwycięstwa, gdyż nagle zaczęli wiwatować i przelewać się przez wał, by wesprzeć oblegany klin.

– Bogu niech będą dzięki – westchnął z ulgą Beocca na widok uciekających Duńczyków. Jeszcze przed chwilą formowali masywny, najeżony bronią mur tarcz, a teraz w panice rozpierzchali się po mieście. Nasze wojska, z uczuciem ulgi ludzi świeżo ocalałych od śmierci, podążyły za nimi. – Teraz powoli ruszymy – nakazał Beocca, jadąc stępą i prowadząc mojego konia za wodze.

Po Duńczykach nie było śladu. Wał ziemny zalewała teraz fala naszych ludzi, którzy przepychali się najpierw przez powstały wylom, a potem przez strome zbocze wału zbiegali na ulice miasta. Wewnątrz Eoferwicu powiewały trzy chorągwie: wilczy leb mojego ojca, topór wojenny Aelli i krzyż Osberta. Mężczyźni wiwatowali. Spiałem konia i cugle wypadły z uchwytu Beokki.

– Wracaj! – zawołał, lecz nie próbował mnie odciągnąć, tylko jechał za mną.

Wygraliśmy, Bóg zesłał nam zwycięstwo, a ja chciałem być blisko, chciałem przekonać się, jak odbywa się prawdziwa rzeź.

Żaden z nas nie mógł przedostać się do miasta, ponieważ dziura w palisadzie była zapchana ludźmi. Ponownie spiąłem konia, torując sobie drogę przez ten ścisk. Niektórych to złościło, ale gdy zauważali na moim helmie otok z pozłacanego brązu, docierało do nich, że jestem szlachetnie urodzony, i nawet próbowali mi pomóc. Tymczasem Beocca, zdany na własne siły, utknął na szarym końcu tłumu. Wołał, bym nie oddalał się zbyt od niego.

– No to mnie dogoń! – odrzyknąłem zuchwale.

Potem krzyknął znowu, lecz tym razem z grozą i rozpaczą. Odwróciłem się i zobaczyłem morze Duńczyków nadciągających na pole, na którym nasza armia przypuściła wcześniej natarcie. Musieli przejść przez północną bramę miasta, by odciąć nasz odwrót. W jednej chwili stało się jasne, że jednak Duńczycy potrafią stawiać fortyfikacje. Zbudowali wały obronne wewnątrz miasta pomiędzy ulicami, potem upozorowali ucieczkę z szańców, by zwabić nas w śmiertelną pułapkę, a teraz trzymali nas w potrzasku. Część Duńczyków, którzy przybyli z miasta, siedziała na koniach, ale większość przyszła piechotą. Beocca spanikował. Nie winię go za to. Duńczycy słyną z upodobania do zabijania chrześcijańskich księży.

Widocznie śmierć zajrzała Beocce w oczy, a on nie miał jeszcze ochoty iść do nieba jako męczennik. Zawrócił konia, mocno uderzył go ostrogami i pogalopował wzdłuż rzeki. Duńczycy, obojętni na los jednego człowieka w obliczu tylu innych złapanych w zastawioną przez siebie pułapkę, pozwolili mu odjechać.

W większości armii obowiązuje zasada, że tylne szeregi tworzą najmniej waleczni i najsłabiej uzbrojeni ludzie. Odważni idą do przodu, a słabi zostają w tyle, zatem jeśli udaje się uderzyć na tyły wroga, urządzi mu się prawdziwą masakrę.

W moim długim życiu dane mi było oglądać, jak fala paniki zalewa wiele armii. Jest to gorsze niż przerażenie uwięzionych w rozpadlinie i zaatakowanych przez wilki owiec. Rozpaczliwsze niż desperackie miotanie się złapanego w sieci i wyciąganego z wody łosiosa. Wrzask tej paniki rozdziera niebiosy. Jednak dla Duńczyków była to wówczas słodka muzyka zwycięstwa. Dla nas zaś śmierć.

Próbowałem uciekać. Bóg jeden wie dlaczego ja także spa-
nikowałem. Widziałem pędzącego pomiędzy rosnącymi na
brzegu rzeki wierzbami Beocę i udało mi się nawet zawrócić
klacz, ale wtedy jeden z naszych ludzi złapał mnie, chcąc za-
brać mi konia. Miałem na tyle rozumu, żeby dobyć krótkiego
miecza, którym wywinąłem na oślep w stronę napastnika,
jednocześnie spinając mocno wierzchowca. Osiągnąłem tym
zabiegiem tyle, że wydostałem się z ogarniętej paniką masy
ludzi i wyjechałem prosto na Duńczyków. Dokoła mnie roz-
brzmiewały krzyki, a duńskie topory oraz miecze to opadały,
to się wznosiły. Ponura robota, święto krwi, pieśń ostrzy –
różnie nazywają to, co wówczas się działo. Może chwilowo
ocalałem, ponieważ byłem jedynym z naszych, który sie-
dział na koniu, tak jak część Duńczyków. Może omyłkowo
wzięli mnie za swojego. Nagle jednak któryś zawołał coś do
mnie w języku, którego nie rozumiałem. Był to długowłosa
mężczyzna bez hełmu. Po tych włosach, srebrnej kolczudze
i szerokim uśmiechu na dzikiej twarzy rozpoznałem zabójcę
mojego brata. Jak ostatni głupiec zacząłem na niego krzyczeć.
Za nim stał Duńczyk trzymający jego sztandar – widniejące
na nim skrzydło orła powiewało na długim drzewcu. Z oczu
lały mi się łzy, zamazując obraz. Może mną także ovladnęło
bitewne szaleństwo, chociaż wcześniej poddałem się uczuciu
paniki. Podjechałem do Duńczyka i zamachnąłem się krótkim

mieczem. Sparował cios własnym mieczem, a moje lichutkie ostrze wygięło się jak kręgosłup śledzia. Mężczyzna uniósł broń, szykując się do zadania śmiertelnego ciosu, zobaczył jednak mój żalosny, powyginany miecz i wybuchnął śmiechem. Podczas gdy ja zmoczyłem się ze strachu, on śmiał się jak opętany. Znow uderzyłem swoim bezużytecznym ostrzem, a on ciągle ryczał ze śmiechu. Potem pochylił się nade mną i wytrącił mi broń z ręki. Następnie mnie podniósł. Krzychałem i okładałem go pięściami, ale widać uważał to za zabawne. Przewiesił mnie brzuchem przez siodło, tak że leżałem teraz przed nim, i pognął w bitewny chaos, by dalej zadawać śmierć.

W taki oto sposób poznałem Ragnara, Ragnara Nieustraszonego, jarla Ragnara – zabójcę mojego brata i człowieka, którego głowa powinna zostać nabita na pal i ozdobić szczyt Bebbanburga.

CZĘŚĆ PIERWSZA

POGAŃSKIE DZIECIŃSTWO

Jak Gra o tron, ale prawdziwa.

„THE OBSERVER”

**Bernard Cornwell tworzy najlepsze
sceny batalistyczne spośród wszystkich
pisarzy, których czytałem.**

GEORGE R.R. MARTIN

Pierwszy tom bestsellerowej serii Bernarda Cornwella o losach bohaterskiego Uhtreda z Bebbanburga. Na jej podstawie BBC realizuje serial *Upadek królestwa*.

Anglia, IX wiek. Wikingowie plądrują i zajmują ziemie kolejnych anglosaskich królestw. Uhtred, syn ealdormana Northumbrii, trafia do duńskiej niewoli po tym, jak jego ojciec zginął w walce z najeźdźcami. Dorasta wśród wikingów, żyje zgodnie z ich zasadami, staje się częścią rodziny jarla Ragnara i wojownikiem.

Jednak przeznaczenia nie da się oszukać. Los jest nieubłagany. W chaosie duńskiej inwazji, w wirze walki Uhtred staje przed wyborem, czy być lojalnym wobec tych, którzy go wychowali, czy wobec saskich pobratymców...

Więcej o całej serii:

www.wojnywikingow.pl

E-book dostępny na woblink.com

ISBN 978-83-7515-495-5



9 788375 154955

Cena detal. 54,90 zł


WYDAWNICTWO
OTWARTE

